

15190

Kto zniszczy tę książkę, zapłaci za nią

Mk. 1500 fen. ~~X~~

150

Kto zniszczy okładkę twardą, zapłaci ~~X~~ Mk.

~~Kto zniszczy okładkę z papieru, zapłaci~~
~~za nią 1 Mk.~~

SZANUJ KSIĄŻKĘ!

NA ULICY: Owiń książkę w papier, chroniąc okładkę przed deszczem i potem rąk!

Nie gub po drodze lub w kolei, bo musisz odkupić!

W DOMU; Kładź na czystym miejscu!

Nie dawaj dzieciom do rąk!

Nie pożyczaj drugim!

CZYTAJĄC, używaj zakładki, nie zaginaj rogów!

Palców nie śliń przy przewracaniu kartki! (Bakcyle!)

Nie pisz po książce i nic nie podkreślaj!

Nie rób uwag (zwykle niedorzecznych!)

Nie rób plam z atramentu lub tłuszczu!

Nie wydzieraj kartek!

Nie przeginaj w grzbiecie!

PAMIĘTAJ ZAWSZE, że to własność ogółu, że książki i oprawa obecnie bardzo są drogie,

że zniszczenie lub zguba drogo cię będą kosztować,

że przed wyjazdem należy książki zwrócić do biblioteki.

TEATR DLA WSZYSTKICH.

Nr. 102.
14.4.1920.

STARY MUNDUR

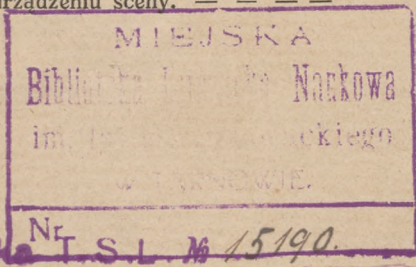
OBRAZ DRAMATYCZNY na tle powstania styczniowego

przez

STANISŁAWA WIŚNIEWSKIEGO.

Z uwagami o grze i rekwizytach i informacjami

— — — — o urzadzeniu sceny. — — — —

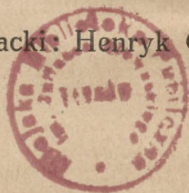


Biblioteka T.S.L. M 15190.

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.

Kierownik literacki: Henryk Cepnik.



C-90061

40/63

WYKONANO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA“, LWÓW,
ULICA CHORĄCZYŹNY LICZBA 27. — NUMER TELEFONU 1998.

O S O B Y:

MAJOR wojsk polskich.

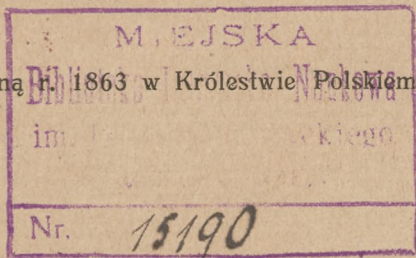
WANDA, jego córka.

STANISŁAW, stary sługa.

JÓZEF, narzeczony Wandy.

POWSTAŃCY.

Rzecz dzieje się wiosną r. 1863 w Królestwie Polskim.



08.2.

(Pokój Wandy z urządzeniem z lat 1850—1860. Z jednej strony okno, w rogu klawikord — obok krosna; na ścianie krajobraz z zegarem kurantowym. Z drugiej strony kominek, przy nim dzban. Wprost widzów na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej — przed nim płonący kaganek — pod obrazem kłęcznik. W środku stół, na nim dwie świece i książka otwarta. W głębi drzwi, przy nich kufer. W chwili podniesienia zasłony Wanda skubie szarpie przy stole — Stanisław zajęty laniem kul przy kominku — zegar kurantowy wygrywa starego mazurka),

SCENA PIERWSZA. (Wanda *gdy zegar milknie*, WANDA, STANISŁAW. *przerywa pracę i powolnym ruchem zwraca twarz ku ze-*

garowi). I poszedł... Poszedł w jasną noc styczniową, łzami moimi tylko pożegnany... Na Bożym świecie już wiosna zieloną szatą stroi pola i lasy — a jego niema!... Gdybyż choć jakie wiadomości! Prócz kilku tych słów pociechy skreślonych jego ręką gdzieś przy ognisku obozowem już przed miesiącem (*wyjmuje zwitek papieru z książki i przygląda się pismu*) żadnych więcej znaków jego... Czy ja go ujrzę jeszcze (*zamyśla się, potem wkłada napowrót papier do książki, której kartki przerzuca* Dziady... Dzisiaj zrozumiałam lepiej, niż kiedykolwiek ten fantastyczny, a jednak prawdziwy utwór wieszczą... Ale dlaczego dzisiaj czytając, widziałam w tych ofiarach gwałtu i zbrodni moskiewskiej... jego? Skąd ta myśl? (*odsuwa i zamyka książkę*). Same cierpienia! Miłość i cierpienie! Te dwa uczucia dzisiaj,

jak przed stu laty wypełniają całe nasze narodowe życie i życie jednostek... Tyle ofiar, tyle poświęcenia, łez i krwi wylanej tyle... a czy to wszystko nie na marne? Nie! Precz z tą myślą! Polką jestem i... gdyby on mię słyszał — potępiłby może — on, wierzący w dzisiejsze zmartwychwstanie Ojczyzny, jak lud w tajemnicę Odkupienia... on, który może w tej chwili życie za Polskę daje — lecz nie wątpi! A ja, co razem z nim nic złotej nadziei snułam, ja, której on najtajniejsze myśli, najśmielsze zamiary odkrywał — miałabym wątpić? Ja śmiem pomyśleć na chwilę, że to, co czyni on — nie jest najlepszem, najwznioślejszem? (*idąc zwolna ku kłęcznikowi*). Boże! Przebac mi tę chwilę zwątpienia! Natchnij wiarą tych, co dziś jeszcze nie wierzą w przyszłość jasną, promienną, jak Twój Majestat, Boże! (*klęka*) Ale zlituj się nad tymi, co w miłosierdzie Twoje ufnę, poszli moce szatańskie kruszyć na ziemi! (*podnosząc wzrok na obraz*) Panno Święta! Tyś Twą Jasną Górę z potopu szwedzkiego wyzwoliła... Wyprowadźże i teraz z niewoli — wyprowadźże lud Twój wierny, co z pieśnią Twoją na ustach wyszedł pod Twoim sztandarem w bój wielki, święty! (*chwila ciszy — potem wstaje i zabiera się do przerwanej pracy*). Modlitwa koi boleść duszy. A dzisiaj szczególnie coś mnie dręczy. Trzeci już miesiąc mija, jak wyszedł za ten próg... tyle czasu — a mnie się zdaje, że to było przed chwilą, — zdaje mi się, że jeszcze drżą drzwi jego dłonią ruszone — że słyszę jeszcze brzęk jego powstańczej szabli... (*odwraca głowę na plusk ołowiu w wodę*). Ach ja nie sama... ten stary tutaj... (*głośniej*) Stanisławie!

Stanisław. (*nie odrywając się od pracy*). A co panienska każe?

Wanda. Nie słyszeliście, czy ojciec przyjechał z miasta?

Stanisław. Kpi panienska ze starego; albo to nie wiadomo żem przygłuchł pod Stoczkiem! Harmatybym nie posłyszał, nie dopiero pana majora...

Wanda. (*do siebie*). Dobrze, że mnie nie słyszał. (*głośniej*). Powiedzcie mi, Stanisławie — czy to łatwo zginąć na wojnie?

Stanisław. Albo co? Czy panienska na wojnę idzie?

Wanda. (*do siebie*). Dziwny ten stary; ojciec powiada, że to był najweselszy ułan w pułku — aż gdy mu Moskale żonę i dziecię zamordowali, wpadł w melancholię. Zdaje się teraz nikogo nie lubić prócz mnie i ojca, dawnego swego komendanta (*głośniej*). Nie rozumiecie mnie, mój Stanisławie; wy z ojcem moim przewojowaliście tyle czasu, tyle bitew stoczyliście, tyle doświadczenia wojennego macie — więc ocenić możecie — czy w takiej wojnie, jaką teraz mamy, łatwo może zginąć... pan Józef...

Stanisław. Albo to pan Józef na wojnę poszedł?... My z panem majorem, mości panie, po każdej ponowie na taką wojnę chodzimy, a zdrowi wracamy. Wojna hm... zaraz wojna! To będzie pukanina, łapanina, chłopcy do domu pójda, Moskale co nieco powieszą, w Sybir poślą, łykną wódki, sprawę zapiją i będzie sza. Kto? Oni chcą bić Moskali! Panienko! Ułani ich bili — a nie zbili — bo tego mrowia tyle jest... A Moskal, panienko, to jak lis

zastrzelony, pókiś z niego skóry nie ściągnął — jeszcze się go strzeż!

Wanda. *(do siebie).* Pocziwy Stary! On nie wierzy, aby ludzie, których prowadzi miłość ojczyzny i niewstrzymany zapał, mogli zwyciężyć. U niego wojsko — to tylko w mundurach, to tylko jego ułani... W jednej szkole z ojcem wychowani!

Stanisław. *(wysypując kule do worka, nuci półgłosem).*

Grzmia pod Stoczkiem harmaty.

Białe błyszczą rabaty

A Dwernicki na przedzie

Na Moskala nas wiedzie!

Na Moskala nas wiedzie!

Wanda. *(do siebie).* Nie wiem, dlaczego dzisiaj staje mi w pamięci zdarzenie z moich lat dziecinnych — zdaje mi się, że i we śnie miałam je przed oczyma, jako wspomnienia jasnych dni wiosennych *(głośniej)*. Stanisławie, czy wy mnie dobrze pamiętacie małym dzieckiem?

Stanisław. A czemubym nie pamiętał, — przecież panienkę, na tych rękach wyniańczyłem. Bywało... panienka spać nie chce — pan major zaraz: „Michalik, śpiewaj!“ — Ano, brałem maleństwo — to jest niby panienkę — na ręce, wywodziłem przeróżne wojskowe pieśni, co się ta człowiek za młodu nasłuchał; całymi godzinami, bywało, ciągnąć musiałem — bo co przestanę, to maleństwo — niby to jest panienka, — zaraz woła: „Jecie, jecie!“ albo i rozszłochoło się maleństwo na dobre! A bywało

i tej samej nuty nie chciało dziecko — to jest niby panienka—dwa razy słuchać—albo i śpiewanie nic nie pomagało; wtedy nieboszczka pani w płacz, pan major na mnie wsiadał, że mi — prawi—konie czyścić — nie dzieci bawić! — Com miał robić? Ano, trza było gębę — nie przymierzając—w trąbę włożyć, com ją tam po kamracie poległym pod Grochowem oddziedziczył i trąbić po nie-ludzku marsze i przerozmaite melodye wojskowe... że aż pod oknami psy wyły z radości, tak im to granie po kiszkach chodziło...

Wanda. Lubię was za to mój stary i nigdy lubić nie przestanę. Opowiedzcie mi co — proszę — z moich młodych, dziecinnych lat.

Stanisław. (z gniewem). Eee! Gdzie ja pamiętam takie drobiazgi,—ja żołnierz, nie niańka!

Wanda. No, a później—czy płakałam często?

Stanisław. Ale zaśby tam! Taka chorągiewka!

Wanda. Przecież powiedzcie, czy byłam kiedy smutna, zapłakana?

Stanisław. Aha! Raz... pamiętam... miała malizna —niby to panienka—gołąbka białego, chowanego, co na ramieniu panience siadywał i tak się go nosiło, jak—nie przymierzając—kota... taki już gad był łaskawy.—Aż raz go gdzieś — w ogrodzie kania wzięła. Dopieroż to był lament i płacz — że i tego nie wartął marny ptak. I tak było dni parę. Aż raz znaleźli pastuchy pod lasem w parzy znowu gołębia jakiegoś — obszarpanego, bez ogona, bez pierza prawie, skrwawionego, jak nieboskie stworzenie. Oddały go pastuchy do dworu nieboszczce pani, a pani — że to panie zawdy są w sercu miękkie — woła

panienkę i mówi tak: — „Daję ci ptaszykę, zamiast tamtego zginionego gołąbka; jeśli masz dobre serduszko—to go będziesz pielęgnować, a gdy wyzdrowieje — cieszyć cię będzie, żeś uratowała życie stworzeniu boskiemu“. — I tak minęło parę niedziel, ptak się podebrał, w pierze porósł i kiedy go raz panienska naszła — on ci siadł panience na ramieniu. Dopieroż to radość była, cały dwór się zleciał na to i najgłupszy pastuszyna poświadczył, że to był ten ci sam gołąb zagubiony, co go to niby kania miała zjeść, a tylko poturbowała...

Wanda. Tak, pamiętam, to była ta sama, moja ptaszyna. Pamiętam słowa mej matki wówczas do mnie powiedziane, których znaczenie dzisiaj dopiero zrozumieć mogę: — „Kochać trzeba nie tych, do których samo szczęście się uśmiecha — lecz tych, co cierpią“. — To zdarzenie z dziecinnych mych dni, stanęło mi dzisiaj we śnie przed oczyma duszy i z pamięci nie znika... Czy nie wróżba jaka? (*głośniej*). Czy wy umiecie sny tłómaczyć, Stanisławie?

Stanisław. (*gniewnie*). Ja żołnierz, nie kabalarka...

Wanda. Żołnierz, prawda — lecz żołnierz nie tylko z bronią ma do czynienia. Zresztą, nie dalej jak wczoraj, wywróżyliście ojcu memu dzisiejszą podróż do miasta z jego snów własnych (*do siebie*). Mój Boże! Czyż i mój ojciec, prawie jawnie potępiający naszą dzisiejszą walkę świętą — odpowiadać ma za niepopołnione czyny, za zamiary, których do swych myśli nawet nie dopuścił — niestety! (*ciszej*). Co za dziwny zbieg sprzeczności! On... pan domu, senior szlachty okolicznej — nazywa wprost szaleństwem naszą akcyę powstańczą — a w jego

domu rodzona córka przechowuje najtajniejsze papiery Rządu Narodowego — jej narzeczony zaś, organizując oddziały chłopskie w okolicy, powołuje się wobec szlachty na rzekome polecenie mego ojca — bo tylko tym fortelem można było coś podobnego uczynić wobec wielkiej powagi ojca... Dzisiaj, ten starzec, Bogu ducha winien, odpowiada przed komisją śledczą — za co? (z uśmiechem). Chyba za to — że nie poszedł z prądem żywiołu zbudzonego do nowego życia, lecz wstrzymać chce rękę mściciela, zamierzoną do odwetu... Zaiste, dziwnych czasów dożyliśmy dzisiaj! Ale skąd ten dziwny mój niepokój? Czyżby ojcu mojemu groziło naprawdę jakie niebezpieczeństwo? Czyż wróg nieoszczędza już nawet tak lojalnych wobec siebie ludzi? (do Stanisława). Mnie się dzisiaj właśnie o tym gołębiu śniło...

Stanisław. Ano, dobrze!

Wanda. Całe zdarzenie, powiedzcie, Stanisławie — czy to nie zły znak?

Stanisław. Czy ja ta wiem — ja żołnierz stary, nie cygan — snów nie tłómaczę... Hm... ale się panience gołąb śnił... ten biały (*myśli*). To jest zwyczajnie dobry przyjaciel... kochany... droga osoba... A śniła się i kania?

Wanda. I kania... porwała pieścioszka mego...

Stanisław. (*myśli*). Każdy ptak latający, to pociecha w utrapieniu... ale, żeby gołębia porwał... hm... czy ja wiem sam... ja ta żołnierz, nie uczona osoba.

Wanda. Właśnie też; w tem waszem ruchliwym, obozowym życiu, najlepiej przekonać się mogliście, czy i jakim snom wierzyć można...

Stanisław. Sen mara — Bóg wiara! Tak zawsze

mówił wachmistrz Wrona — Panie, świeć nad jego duszą! Leżał przy mnie wraz z koniem, jak kosa podcięty...

Wanda. A wam sprawdził się też jaki sen?

Stanisław. Oj, sprawdził, sprawdził, panienko... Bodaj mi było nie kłaść się do snu onej nocy!

Wanda. I cóż wam się śniło?

Stanisław. Stare rzeczy — przebolane — przepłakane.

Wanda. *(podchodząc ku niemu, uimuje jego rękę w dłonie).* Powiedzcie, Stanisławie — jeśli mnie choć trochę lubicie! Wy wiecie, jak lubię słuchać waszych pieśni, waszych ciekawych opowieści i przygód wojennych... *(siada napowrót przy pracy).*

Stanisław. *(powoli).* Wilki mi się śniły... stado całe, jak koło mej chaty łążyły głodne, wyjące... Ano, pytam wachmistrza Wrony — iż to on do wszelkich interesów najsprawniejszy był: — Panie wachmistrzu, a co to wilki, — A on na to: — A świeciły? — Świeciły. — Mocno? — Mocno. A on na to: Głupiś, a masz szczęście; im mocniej wilk świeci ślepiami — tem lepiej... — Tak potem była ta bitwa pod Dębem i szliśmy marszem ku Warszawie na obozowisko... droga wypadła akuratnie przez moją wieś, gdzież żonę miał i dziecko — bo już byłem żonaty i syna miałem. — Więc stałem przed panem majorem i melduję, że do żony wstąpię, familię obejrzyć i pieniędzy trochę zostawić. A pan major, dobre panisko, mówi: Jedź, trutniu! — Więc jadę dniem naprzód do mojej wsi, do mej chaty — jadę — czym drogę zapomniał — chałupy nie widać — jednej, drugiej niema... jeno kupy węgla; pytam o żonę — lu-

dzie głową ruszają, pytam o dziecko — pokazali mi dwie mogiły świeże... Wyrżnięto... Moskale szli przez wieś... (*Wanda przerywa robotę, wsłuchując się coraz uważniej*). Anom leżał na świeżej ziemi cmentarzyska i już nie wiem, co się ze mną i koło mnie działo... A kiedym wstał z tych mogił — votum takie uczyniłem Matce Najświętszej — że szabli z garści nie puszczę, póki tych zbójów nie zgładzę tylu, ile właśnie świeżych mogił trawą nie pokrytych jeszcze było na onem cmentarzysku. A było ich dwadzieścia równo i pięć. Ano, biłem i biłem, co sił wlało... a każdego, com sprawił — znaczyłem karbem na drzewcu u lancy... wedle rachuby lepszej i pewniejszej. A było ich tam już niedaleko onej liczby — kiedy na pruskiej granicy konia wzięli, lancę wzięli — i rachunek się zgubił... Niespełniony ślub — grzech ciężki...

Wanda. (*rozpoczynając przerwana pracę*). Znam, znam tę waszą bolesną opowieść. Z opowiadań ojca wiem, że od tego dnia rwaliście się pierwsi w bój i powracali ostatni na głos trąbki, zwołującej do odwrotu; życie wam ciążyło...

Stanisław. I to i nie to; szedłem też na pojedynek za Moskałem — bom tylko takich ubić ślubowałem, co nie kupą walczyli, bo to służba — a to moja rzecz własna była. Tych nie liczyłem, co w szarży z mej ręki padli — tylko tych, co ekstra sprzątnięci, ślubowani...

Wanda. Lubię was, stary żołnierzu! Wyście dużo wycierpieli w życiu i dużo na świecie stracili... (*do siebie*). W nieszczęściu ulgę nam przynosi myśl, że są równie nieszczęśliwi ludzie — a więcej bardziej nieszczę-

śliwych... On stracił wszystko — ja wobec tego starca nie mogę nazwać się nieszczęśliwą! (*po chwili — przerwywając robotę*). A ilu jemu podobnych!... (*zamyśla się*). Dzieje nasze, krwią naszą na własnej pisane ziemi... Pokolenie pokoleniu w spuściźnie zostawia — mogiły... a ci, co żywi — cierpią własnym i ojczyzny bólem. Żadne usta piosnki nie zanucą, a jeśli odezwie się pieśń cicha — to tak ponura, jak i jęki konających, jak głosy pogrzebowych dzwonów... Boże, kiedyż odwrócisz od nas Twe gniewne oblicze? (*po chwili*). Lecz dość tych niewieścich żalów... nam płakać nie wolno; oni walczą — my o nich pamiętać musimy. (*Zbliża się do kufra — otwiera i wyjmuje zwój płótna*). Wszystkie już zapasy płótna poszły na pole bitwy; i to płótno miało kiedyś służyć na moją wyprawę — lepiej będzie służyć w tej postaci... (*ujmuje garść przygotowanych przez siebie szarpi*). Cienkie, dobre płótno... Ha! Może się dostanie na ranę jakiegoś panicza... niech mu ból ukoj. (*Chowa część szarpi do kufra, który zamyka, pozostawiając wyjętą sztukę na stole*).

SCENA DRUGA.

CIŻ i MAJOR.

Major (*wchodząc*). Witajże mi, moja gołąbko. Witaj! (*całuje Wandę w czoło, ona jego w rękę*). Cóż porabiasz? (*spozstrzegłszy płótno i szarpie na stole*). Oho! Już warsztat w domu! Rano szarpie, we dnie szarpie, w nocy — jeśli nie szlocha — znowu szarpie! Aaa! Czy wy kobiety dzisiaj już nic innego nie umiecie, tylko szarpie drzeć? W oczach łzy, w głowie

Bóg wie kto — a my rodzice w kącie przed tymi zapaleńcami, drapi... Oj, źle staremu!

Wanda. Nie gniewaj się, ojcze! Nie chcę wierzyć, byś się naprawdę mógł gniewać na swą córkę... Powiedz raczej, czego żądano od ciebie, czegoż chciała od ciebie ta komisya śledcza? (*do siebie*) szatańska... Czy i ciebie, ojcze, podejrzewają o bunt, o jaki związek z powstaniem?

Major. A zgadłaś dziecko! (*odetchnąwszy głęboko*). Byłem słuchany, jako winowajca... Rzekli mi w oczy: — Ty znasz Czapłę! Ty wiesz, kto się pod tem nazwiskiem kryje! Ty wiesz, kto jest tym łotrem, buntownikiem, co chłopstwo w okolicy zbuntował i poszedł z nimi w augustowskie lasy! — Wyobraź sobie! Szlachcicowi zarzucać jawne konszachty z jakimś drapichrustem, co chłopstwo zmawia! (*chodzi po pokoju coraz prędzszymi krokami*). Powiadają mi do oczu: „Ty utrzymujesz z nim korespondencyę, listy do twej córki przez niego pisane wyłapano!“ Cóż ty na to? (*patrząc jej w oczy, przystaje, ręce w tył założony*).

Wanda. (*zmieszana*). Wiesz, ojcze, że z nikim, prócz Józefa, korespondencyi nie utrzymuję...

Major. Tak, jestem tego pewien — chociaż, kto was tam teraz skontroluje. — drapichrustów! No, i słuchaj, co ci powiem dalej, — powiada do mnie jeden z jenerałów: — My was i wasze dwory z dymem puścimy! My was i wasze dzieci w Sybir pošlem... na osiedlenie. — Pociemniało mi w oczach na takie obelgi — alem nic nie rzekł, bo widziałem, że inni sykać na tamtego poczęli i z sali go wyciągnęli, bo dalibóg, kto

wie, czyby to nie były ostatnie słowa tego zbira... Więc, gdy się cokolwiek uspokoiło, mówię im: — Bójcie się Boga, panowie! Toż czaplę znam i niejedną w życiu widziałem — ale, jeśli to jakiś oberwaniec przybrał takie przezwisko i waszych ludzi bije — to łapcież sobie go i wieszajcie, ale za kogoż macie mnie i mój dom? Uszanujcież imię szlacheckie i dobrą sławę domu! Moi panowie! Z chłopstwem jeszcze trzody nie pałem i da Bóg, paść nie będę; punktum i basta!

Wanda. (*ironicznie*). Zaiste! Ciebie, ojczy, trudno posądzać o podobne znajomości...

Major. Więc puścili mnie cało na takie dictum, lecz przysiadz im musiałem, że żadnego Czapli nie znam i nie widziałem, i że do żadnych spisków nie należę i należeć nie chcę. Ot, historia dnia dzisiejszego! (*odechnąwszy głęboko*). Tego mi jeszcze trzeba było na moje stare lata, na siwe włosy (*chodząc po pokoju, wyjmując z kieszeni podróżną fajkę i zapalając*). Ot, czego nie narobiły te wartogłowce, te drapi...

Wanda. Nie gniewaj się ojczy; drobne to przykrości, w porównaniu z morzem cierpień tych nieszczęśliwych... Ale czy więcej nigdzie nie byłeś, ojczy?

Major. Wstąpiłem potem do rodziców Józefa...

Wanda. (*wpadając w słowa*). Są wiadomości?

Major. (*siadając*). Zaraz wiadomości! Szydło z wora! One wszystkie jednakie... (*wstaje i chodzi znowu po pokoju*). W mieście, mości dobrodzieju, w każdym domu fabryka; zajeżdżam do Brzozowej, znowu fabryka, lamenty — biedne matczyko już trzeci dzień suszy na intencję tego... wietrznika, jedynaka... Powiadam ci, kiedy

wszedłem, nie wiedziałem, czy jestem u krawca — czy w szlacheckim domu... Córki z dziewczkami takie pierze drą (*chwyta garść szarpi*), kowale we dworze kosy klepią, jak przed kością... — nawet starego ojca, mości dobrodzieju, zasadzili nad laniem kul, dla tych drapi... Ot, przewrót i kołowacizna, jak Polska długa i szeroka... źle się to skończy... oj, źle...

Wanda. (*zamyślając się i przerywając na chwilę pracę*). Jacy oni wszyscy poczcwi w tej Brzozowej! Jutro tam znowu muszę pojechać, — będziemy razem myśleć i pracować dla nich — męczenników!

Major. (*sposprzegłszy Stanisława*). A ty co robisz, stary?

Stanisław (*nie odrywając się od pracy*). Grzanki smażę, panie majorze...

Major. Więc już i ciebie skaptowały te marzycielskie głowy, egzaltowane dusze... Ha! ha! ha! Ktoby ich posadził! Po szkołach to siedziało, niby w grece i łacinie grzebali — a tam, mości dobrodzieju, wichur chodził po głowie... tu pstro było (*uderza się ręką w czoło*). I poszło jedno nieszczęście za drugim — wyszła garść młokosów z motyką na słońce, ze starą, złamaną motyką! I poco było jeszcze wciągać w to chłopów?... Oj, zrobiły swoje te wierszyki, te broszurki, te jakubińskie poezye młokosów (*wstaje*). Za moich czasów, mości dobrodzieju, tego nie było — oj, nie! Jeśli się młodej głowy czepiały fantazyje i mrzonki — to wziął ksiądz profesor na słówko, bywało, za ucho pokręcił, karteczki poodbierał i basta! Tośmy potem byli żołnierzami, mości dobrodzieju, nie kochankami z romansów! Hm... hm...

oni myślą, że podług swych mrzonek świat do góry nogami przewrócą! A nie szkodaż to tylu młodych sił dla kraju? Tylu rąk do pracy? Pewna śmierć lub kajdany! (*chodzi coraz szybciej puszczając kłęby dymu*). Oni sądzą, że za nimi Europa przemówi! Gabinety, mocarstwa! Słyszane rzeczy? Stara, samolubna Europa, za garścią gołowąsych marzycieli!... Oj, strasznie się przebudzą gdzieś w sybirskich lodach!

Wanda. Stara piosnka twoja, ojczu — ależ i ty ojczu, poszedłeś w 31-ym roku...

Major. (*przerywając*). Poszedł... poszedł... hm... — a dla czegoż nie miałem iść? Toć Polakiem byłem i przy boku nie ten cybuch nosiłem! To ci powiadam, dziecko, że i dzisiaj, ja, stare drewno, poszedłbym, gdybym widział choć połowę naszego wojska... ale wojska takiego, jakie było wtedy! Powiadam ci, dziecko — za ostatniego ciurę szedłbym dzisiaj z tem wojskiem, pod tymi wodzami (*do siebie*). Hej! Gdzie te lata? Gdzie to słońce, co nam świeciło?... Chłopcy, jak dęby do koni przyrośli... lasy lanc rosły nad wojskiem, żeś mniemał: dyabły, nie ludzie! A kiedy przyszło komendę brać nad szwadronami — toś, bracie, widział jak na dłoni, że pójdą i konie i ludzie, kędy trzeba... że sprawią się, jak rycerze dawni, co skrzydła husarskie w bój nieśli... A ilu ich tam było starych, napoleońskich wilków!... A dzisiaj? W moim szwadronie...

Wanda. Prawda, ojczu! Było wojsko, sławne, zwycięskie, zdobytemi laurami wielkie — ale czyż tego w trójnasób nie zastąpi dzisiaj zapal, jaki budzi rozpacz zranionego w najświętszych uczuciach narodu?...

Major. Ha! ha! ha! Dziecko mówi!... Jak Boga kocham — dziecko mówi! Czyś ty widziała szarżę ułanów pod Stoczkiem? Powiadam ci, takiej nie było drugiej i nie będzie! Hej, gdzie ci ludzie? Gdzie ta mina? Gdzie te postacie marsowe, przed którymi drżał wróg, jak osina! (*zapalając się*). Nie wierzysz, dziecko — pytaj się nieboszczki matki! A dlaczego bili? Bo się sztuki wojskowej nie z książek uczyli, bo się na koniu wychowali — rygor znali, wierszy nie pisali — to jest!

Wanda. Prawda, ojczy... piękne dni widziałeś i żyłeś innem, niż my życiem — ale przecież i dziś nie sami młodzieńcy do boju poszli; w szeregach powstańczych dzisiaj wielu posiada wychowanie wojskowe... u innych wiara w słuszną sprawę i ta czysta miłość Ojczyzny zastąpi tamto... zresztą lud masami ciągnąć będzie pod nasz sztandar powstańczy — gdy ujrzy wolną, swą własną — nie pańszczyźnianą ziemię...

Major. (przerываяc). Oho! Demagog z dziecka mojego mówi! Ot, czego nie dokazały te młokosy!... Lud... lud... Ty mi o ludzie nie mów! To zagadka... sfinks... to kłoc drzewa jeszcze... A dawnoż to w Galicyi...

Wanda. Nie mów, ojczy! Nie wywołuj widma krwawego... my wiemy, kto ręką kierował... Nie oskarżaj niewinnego ludu dzisiaj, gdy jego pomocy najbardziej potrzeba; wszak oni na ludzie oparli cały gmach przyszłości!... Dziś wszystkie oczy nań zwrócone...

Major. (ironicznie). Chłopsztwo od pługa i cepów — piękna armia...

Wanda. Z takim wojskiem mieliśmy Racławice!... pod ks. Mackiewiczem chłopci od pługa i cepów dziś

pierwsze wawrzyny zdobywają! Da Bóg kilka zwycięskich bitew...

Major. (*wysypując popiół z fajki*). Moja panno! Niema o czem gadać, głupstwo się stało, wielkie głupstwo i basta! A szkoda, wielka szkoda tylu młodych głów... Poginie to marnie i znów Ojczyzna czarną przywdzieje szatę!...

Wanda. Mój ojczu! Jaki koniec będzie — Bóg pokaże! My wspierajmy i krzepmy ducha tych, co wznieśli miecz za najświętszą sprawę — a przenigdy nie sądźmy źle tego, co zbawieniem Ojczyzny być może... Ten wybuch — to święty płomień narodowego znicza, długo tłumionego zarzewia! Wichru! Wichru trochę trzeba — a rozgrzeje i spali stos, co go przygniatał!... A jeśli Ten, co zmienia postać świata — zmartwychpowstania rozkazu jeszcze nie wydał — to płomień ten (*wstaje, wznosząc rękę*) będzie znakiem, że wróg ziemi wzięwszy — ducha w nas zgasić nie mógł, że żyjemy naszym własnym życiem! Jakikolwiek sąd o nas potomność wyda — dziś my tylko czujemy mordercze ostrze w sercu narodu i czekać nie mogliśmy dłużej...

(*Przy końcu tych słów dają się słyszeć za oknem głosy — potem dalekie strzały*).

Major (*który nasłuchując, zbliżał się powoli ku oknu i nie zdradzając niepokoju — nieznacznie w nie spogląda*). Jakieś tam światło widać pod lasem. (*Wanda zbliża się ku oknu*). Nie chciałem cię bez potrzeby niepokoić i nie powiedziałem ci zaraz po przyjeździe — że jakichś ludzi obcych spotkałem koło karczmy — same obce twarze, zawadyackie. Byliby mnie niechy-

bnie zatrzymali — tak im z oczu patrzało — lecz na szczęście jakaś patrol kozaków przyjechała w sam czas — no i twój ojciec cało wyszedł z tej matni. (*Wanda coraz uważniej spogląda przez ramię Majora w okno*).

Wanda. W samej rzeczy, jacyś ludzie przy ognisku pod lasem — może jacy podróżni...

Major. Dałby Bóg, aby nie jakie lichy... choć nie ręczę, czy to nie drapichrusty aż tu pod mój dom przywędrowali... hm? Tak ciekawie mi się przyglądali... Lichy ich wie, co to znaczy! (*Wanda, nachyliwszy się ku oknu — cofa się, niepokoi i składa ręce jak do modlitwy*).

Wanda. Boże! To... oni!

Major. Jak Boga kocham, coś się tam święci! Coraz więcej ludzi kupi się w koło — ognisko bucha... Jeszcze mi las podpalą! O! karcznię otoczyli... Jak Boga kocham, karcznię mi z dymem puszczą... żyda upieką z bachorami... (*Zwracając się do Wandy*). Nie lękaj się, moje dziecko — wyślę kogo, by się dowiedział, co te drapichrusty... (*Za sceną słychać kroki, głosy i brzęk szabel*).

SCENA TRZECIA.

MAJOR, WANDA, POWSTANIEC, potem JÓZEF i TRZEJ POWSTAŃCY.

I. Powstaniec (*wpada do pokoju — ogólne zdziwienie*). Przy boku szabl — burka zarzucona na jednem ramieniu — baranią czapkę zdejmuję, po chwili

przed Wandą mówi wyrazami urywanymi). Dobrzy

Państwo! kimkolwiek jesteście — ratujcie! Na podjeździe zraniono nam towarzysza — patrol kozacka naszła nas pod dworem — przynieśliśmy go tutaj szukać... prosić dla rannego opieki i schronienia przed wrogiem... Bóg nagrodzi...

Wanda. *(zwruszona, drżącym głosem).* Sercem całym prosimy... *(wznosząc ręce złożone).* Boże! Boże!

I. Powstaniec. Gdzie go ukryć? Wróg blisko... rannych nie oszczędzą...

Wanda. Tutaj go przynieście... tutaj najbezpieczniej rannemu będzie... Gwałt i dzikość moskiewska wstrzyma się może u niewieścich progów. *(Powstaniec oddala się — Major ręce na piersiach założywszy, stoi nieruchomy).*

Wanda *(do siebie).* Bóg zsyła mi nieszczęśliwą ofiarę, abym o własnym zapomniata bólu; ja będę czynić dobrze — a może on kiedyś w czarnej godzinie znajdzie też litościwą rękę. *(Major uderza się ręką w czoło. Trzech powstańców wnosi rannego Józefa na noszach z gałęzi świerkowych, przykrytych burką. Dłoń i głowę ma przywiązaną chustkami — twarz pokryta końcem chusty; przy pomocy Stanisława układają go na środku sceny — podczas czego Józef wydaje słabe jęki. Wanda łzy ociera).*

SCENA CZWARTA.

CIŻ, STANISŁAW.

Major *(kiwając głową).*

Ot — gość!... **Wanda.**

Boże! Ranny człowiek — ofiara krwawa... może już nie żyje...

I. Powstaniec. Żyje on, pani — rana nie jest

śmiertelna... życia w nas wiele jeszcze... (Wanda odwraca się ku oknu — Powstańcy opatrują rannego. Stanisław usługuje, polewając wodą z dzbanka opatrunki, które powstańcy przykładają; powstaniec pierwszy podnosi chustę z twarzy — czego Wanda nie widzi, potem zwilżywszy ją, znów twarz rannego pokrywa). Życ będzie, lecz oczy prochem spieczone, blasku nie znoszą — zostawcie tę chustę wilgotną na twarzy. (Za sceną słychać strzały, pobudkę, komendę i wrzawę — potem cisza).

Major (który od chwili stoi wpatrzony w okno). Jak Boga kocham! Konnica... z pięćdziesiąt koni... lance... kosy... przez łąkę... przez oziminę... ale cóż to? (Zwracając się do powstańca). Bez komendanta? Bez dowódcy? (Słychać urwaną pobudkę w pobliżu).

I. Powstaniec (wskazując na rannego). On tu... (Zwracając się do trzech innych powstańców). Spełniliśmy akt miłosierdzia i wdzięczności wobec niego — śpieszmy za głosem obowiązku... (Szybko). Tobie, szlachetna Pani, powierzamy to drogie nam życie (wychodzi, za nim inni trzej).

Major (ustawicznie patrząc w okno). Rozumiem już, co się święci!... te światła tam pod lasem, to obóz tych drapi... kozacy ich wytropili patrolą, a ten oddział konnicy jest ich osłoną i śpieszy na odsiecz... Ale... cóż to znaczy? (Uporczywie przygląda się, przyciskając czoło do okna).

Wanda (półgłosem). Boże! czy i on między nimi? (Zbliża się powolnym krokiem do klęcznika i klęka przy nim na ziemi — Stanisław, który dotąd stał

nieruchomy przy kominku — zakłopotany, podnosi dzban z wodą i trzymając go w ręku, pozostaje tak chwilę — potem stawia dzban na ziemi i siada na ziemi przy rannym). Boże wielki — czy jego godzina już nadeszła może?... W Twoim ręku życie jego i nasze... zlituj, zlituj się nad nami! (Pochyla głowę i opiera na klęczniku — pozostając w tem położeniu do końca tej sceny).

Major *(gestykulując rękoma i cybuchom w powietrzu, jak szablą). Drogi nie znają, czy co? Jak Boga kocham, w rzekę wałą... jak susły potoną... most wczoraj zerwany... (Głośno). Przez groblę i w bród! Przez groblę, do milion kroć dyabłów! (Uderza się cybuchem po cholewie — spogląda na swe ubranie, ręką prawą wykonuje ruch, jakby chwycił za rękojeść szabli). Czas jeszcze... Koniem zwrot! Pogłuchli, czy co? (Głosem bardzo podniesionym). Michalik!*

Stanisław *(zrywając się, staje w postawie wojskowej). Wedle rozkazu!*

Major *(tym samym podniesionym głosem). Mundur! Konia!*

Stanisław. *Wedle rozkazu. (Wychodzą).*

SCENA PIĄTA.

WANDA, JÓZEF.

Wanda *(budząc się z omdlenia, podnosi zwolna głowę, potem wstaje). Niema nikogo...*

Tyle wrażeń zbyt silnie podziało na słabą kobietę... i omdleć musiałam... Ta myśl, że on tam wśród walczących — może ranny... może konający, odebrała mi przytomność tak potrzebną teraz (nachyla się nad ran-

nym). Jak mogłam choć na chwilę zapomnieć, że mi opiekę zdano nad tą ofiarą (*ujmuje go za rękę, dotyka opatrunków*). Pierwsza pomoc już udzielona i teraz śpi biedny... (*nadśłuchuje*) tak śpi i może śni o swej dalekiej, ukochanej, której już może więcej nie zobaczy... (*dotknąwszy rękę rannego, spostrzegła krew*). Krew! krew świeża, na którą nie padł jeszcze zimny lód krytyki bratniej... (*macza garść szarpi w dzbanie pozostawionym przy kominku przez Stanisława i przykłada do rany*). Gdy pomyśle, że on może w tej chwili tak ranny spoczywa gdzieś w odludnem miejscu — zapomniany — z krwawiącą raną — bez słowa dobrego — bez dłoni miłosiernej, coby garść szarpi i kroplę wody do spiekłej przyłożyła rany — budzi się we mnie straszny wyrzut sumienia... (*Siada u nóg rannego, twarzą do widzów zwrócona, twarz kryjąc w dłoniach — chwila ciszy*). Gdy odchodził w tę noc zimową — ja ani słowem nie wstrzymałam go od poświęcenia... najłżejszem mgnieniem oka nie rzekłam mu: zostań! I teraz żal niewczesny i wyrzut sumienia toczą mi serce — mnie winowajczyni! I nie zaznam spokoju (*słychać dalekie strzały*) — aż spełnię się losy nad nim i nade mną... Czemu mi ta chwila ostatnia rozstania — tak żywo przed oczyma stała?... Gdy przyjechał w ową noc pamiętną, aby powiedzieć ostatnie słowo pożegnania — (*ciszej*) chciał ślub wziąć ze mną... ślub cichy, dwoje serc i dwie dusze łączący na wieki... (*słychać znów strzały w oddali*). Ja się zawahałam, on już nie nalegał — boleśnie widocznie zawiedziony. Może duma mojego ojca i różnice przekonań między tymi drogimi mi duszami — za-

truły mu ostatnią chwilę pożegnania? Pamiętam jego głos drżący, gdy pochylony u nóg moich, wymawiał ostatnie słowa prośby — nie spełnionej (*ciszej*): „Ta pewnoś, że do mnie należysz, że nazwisko moje nosisz — bohatera ze mnie uczynić może...” Pamiętam potem tę długą chwilę ciszy, która była dla niego moją odpowiedzią — pamiętam, jak lży tłumiąc, podałam mu strzęp mych włosów, o które prosił i które ukrył na piersiach pod szarą, powstańczą burką... My zanadto kochamy tych naszych rycerzy — (*żałośniej*) lecz my ich tak kochać musimy! Za krew dla Polski przełaną — jedyna to ziemską zapłata! (*Słychać wrzawę i strzały coraz bliżej — potem cisza — wstaje, spogląda na ranne*). Lecz ja tu własne krwawie serce daremnym żalnem — a zapominam o mym obowiązku... (*Macza garść szarpi w dzbanie i zwilża opatrunki ranne*). Kiedy zemdlona tu klęczałam, zdawało mi się, że ojciec o mundur wołał, konia siodłać kazał — zobaczyć muszę, co się stało (*wychodzi*).

SCENA SZÓSTA
JÓZEF *sam*.

Józef (*podnosząc głowę, usiłuje usiąść, nie zrzucając chusty z twarzy*). Gdzie ja jestem? patrol... kozak... (*Gwałtownym ruchem ręki zrzuca z niej opatrunek*). Oh! boli! (*Ciszej...*) do niej — do dworu zanieście mnie (*opada na nosze*).

SCENA SIÓDMA
JÓZEF, WANDA.

Wanda (*wchodząc*). Dwór pusty — w kuchni stara Zofia odmawia modlitwy za

umarłych i konających. Powiada, że ojciec ze Stanisławem, przywdziawszy stare swe ullańskie mundury, dosiedli koni i cwałem pognali ku rzece, a za nimi wszyscy ludzie z kosami i widłami — gdyż ojciec tak kazał... Rozumiem!... Na głos trąbki bojowej zbudził się stary żołnierz — zakipiała zastygła krew w starym wojowniku i poniosła w bój... we wrzawę wojenną! (*Składając ręce do modlitwy*). Boże, Boże wielki! Swą ojcowską dłoń trzymaj nad starcem, co nie pomny na siwiznę — usłuchał głosu wołającej ojczyzny i poszedł walczyć za największą sprawę! (*Kłękając, zwracając się ku obrazowi Matki Boskiej*). Prowadź, Matko i płaszczem Swym ochraniaj tego, co teraz może w podobnem znajduje się niebezpieczeństwie i pod Twoje opiekuńcze ucieka się skrzydła! (*Józef jęknął, usiłując się poruszyć*). Boże, Boże — ja tu własne wywodzę żale — a ten biedny cierpi — może spragniony. (*Powstaje, nalewa wody do szklanki i przyklęka nad głową rannego. Józef porusza się, usiłując rozpiąć burkę pod szyją — Wanda rozpina*). Biedny — ciężko oddycha — ulżę mu może. (*Józef usiłuje ręką wydobyć coś z pod szyi — Wanda wyjmuje zawieszony u jego szyi medalion, podnosząc go ku światłu*). Jakaś pamiątka... znak jakiś... (*przyglądając się bliżej*) kula odbiła się od srebrnej blachy... (*Otwiera medalion*). Cóż to, ja śnię?... moje włosy?... (*Zrywa chustkę z twarzy rannego*). To on! (*Wznosi złożone ręce nad głowę, jak w modlitwie — potem pochyla twarz, dotykając prawie ustami ręki Józefa — chwila ciszy. Za sceną słychać wrzawę i wiwaty — Wanda po-*

dnosi się zwolna, nasłuchując — do pokoju wpada Major, przybrany w mundur ułanów Księstwa Warszawskiego, z białym rabatem i białym kaskiem na głowie — szabla zwisa u prawej ręki na pendencie).

SCENA ÓSMA.

JÓZEF, WANDA,
MAJOR.

Major (chwytając oddech).

Gdzie moja córka? Moje dziecko? (Wanda wstaje). Ha!

Dał Bóg zwycięstwo staremu...

Przydał się jeszcze major Dwernickiego!... Przydał się mundur i ta szabla, co była pod Wawrem! (Chodzi szybkimi krokami po pokoju). Pięćdziesiąt trupów kozackich grzebią chłopci pod lasem. Ale cóż to? (patrząc ze zdziwieniem na Wandę). Moja córka drży? szlocha?

Wanda (schylając się do ręki majora, którą do ust przyciska). Ojczy! To łyzy radości... Odzyskałam ciebie i... (wskazując na Józefa) jego.

Major (żegnając się). Wszelki duch! Więc ten Czaplą, którego imienia żeden kozak nie wypowie bez grądu przekleństw, to — on, twój Józef, twój narzeczony? (Wpatrując się w twarz rannego, który usiłuje powstać, wznosząc się na łokciach). A niechże mnie granaty rwą!... (Ponowny zgiełk i wrzawa za sceną).

Głosy. Gdzie nasz wódz? Gdzie ten siwy major?

SCENA DZIEWIĄTA
CIŻ I POWSTAŃCY.

Powstańcy (wpadają w wielkiej liczbie i otaczają Majora i Wandę

— Major rozgląda się, jakby szukał kryjówki —

kilku chwytą go i podnosi w górę — reszta wyrzuca czapki w górę). Hurra! Niech żyje nasz wódz! Niech żyje zbawca nasz — wiwat! wiwat! wiwat! (Major zakłopotany, porusza rękoma, jak gdyby chciał się uwolnić — potem cokolwiek się ucisza — kilku powstańców pochyla się nad rannym).

Major. *Puszczajcie, drapi... panowie! Za co mnie mordujecie? (Zwolna opuszczają go na ziemię). Ja niegodny... Bóg dał zwycięstwo... (Ociera pot z czoła — przybywają coraz nowi powstańcy, kupiąc się przy drzwiach — kilku z nich trzyma w ręku zdobyte sztandary moskiewskie podarte w strzępy — otaczają półkolem Majora, Wandę i Józefa — składają sztandary u stóp Majora).*

I. Powstaniec *(występując przed Majora).* *Panie Majorze! Zbawco nasz i wodzu! Te znaki moskiewskie, przyjmij, jako dar wdzięczności od oddziału, który z taką chwałą do boju wiodłeś... Rząd Narodowy — jedyna i najwyższa władza nasza, ofiaruje Ci, Panie, legalnie dowództwo nad tym oddziałem jazdy, który własną pierśią i siwym włosem nie wahałeś się ochronić przed niechybną zgubą... (Wyjmuje papier złożony na pierśsiach pod burką i wręcza Majorowi, który drżącą ręką go przyjmuje). Oto pismo delegata Rządu Narodowego. Gdy nasz dowódca (wskazuje na Józefa) tutaj ranny spoczął — prowadź nas, Panie Majorze, przynajmniej aż do czasu jego wyzdrowienia...*

Powstańcy. *(chórem), Prowadź! Prowadź! (wyrzucają czapki w górę).*

Major *(wzruszony).* *Wybaczcie panowie... ja nie-*

godny i córka sierota w domu... czas spocząć staremu żołnierzowi... tylu was młodych, godniejszych...

I. Powstaniec. Wola Rządu Narodowego święta jest dla nas... szczęśliwi jesteśmy, iż słuchając jej — idziemy zarazem za głosem serc, przepelnionych wdzięcznością ku tobie...

Major (*zakłopotany — przerzucając pismo z ręki do ręki, zwraca się do Wandy*). Cóż ty na to, dziecko?

Wanda. Czyń ojciec — co ci dyktuje własne serce i miłość Ojczyzny, wołającej dziś...

Józef (*siada, podtrzymywany przez powstańców*). Gdzie jestem? Major? Moi ludzie? ja żyję? (*rozgląda się — Wanda zbliża się*).

Major. Żyjesz, żyjesz zuchu i zdrów będziesz, gdy rany się podgoją...; ja zastąpię cię teraz z woli Rządu Narodowego w służbie...

Powstańcy (*chórem*). Niech żyje! (*Wanda przyklękawszy, całuje rękę Majora — powstańcy otaczają Józefa, który półgłosem odpowiada na ich zapytania, wymawiane szeptem*).

I. Powstaniec. Panie majorze i ty, szlachetna pani! Obowiązek zmusza mię do wyjawienia tego, co by on sam (*wskazując na Józefa*) zapewne uczynił, gdyby schorzały organizm pozwolił mu zwrócić się z prośbą do waszych serc szlachetnych: Kiedy jechaliśmy na zwiady, on ujawszy dłoń moją — wymógł na mnie przyrzeczenie, że gdyby w bitwie zginął lub ciężko został ranny — zostanie przeniesiony do dworu tu gdzieś w pobliżu, gdzie jego narzeczona ma mieszkać. Mówił, iż

weźmie ślub choćby na śmiertelnem łożu... Więc, chociaż dla rannego przyjaciela nie mógłbym znaleźć bezpieczniejszego schronienia i lepszej opieki, niż w tym zacnym domu — to jednak wypełnienie ostatniej niejako woli jego, jest świętym moim obowiązkiem; „śmiem przeto imieniem naszego oddziału złożyć wam, szlachetni państwo, dzięki, za przyjęcie pod dach swój rannego dowódcy — lecz też i prosić dla niego wóz i konie...

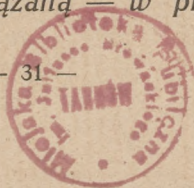
Major (przerywając). Już nie trzeba, bracie! Dobrzeście trafili!

Wanda. Bóg kierował waszymi krokami... Dziękuję Mu za to nieskończone złóżmy. — Ojciec — słyszysz życzenie Józefa —będące jakby ostatnią wolą jego? Czy każesz mu więcej jeszcze cierpieć, karmiąc duszę niepewnością?

Major. Ha! Stało się! Dziej się wola Twoja święta!... Walny chłopak... Skoro wam tak pilno — bierzcie ten ślub, choćby jutro — pielęgnować go będziecie...

Józef (ujmuje jedną rękę Majora — Wanda drugą — całując). Dziękuję... panie majorze... i tobie... (ujmuje wolną rękę Wandy i do ust podnosi — pozostając w tej pozycji do końca sceny).

Major (rozrzewniony, kiwając głową). Nie o takim ja dla was marzyłem weselu... Boże! czy nam już jaśniejsze słońce nie zaświeci? (Kładzie ręce na głowy Józefa i Wandy, która przyklęka. W tej pozycji pozostają te trzy osoby aż do spuszczenia zasłony. Stanisław wpada przybrany w mundur ulana — biały rabat, biały kask — zdyszany — rękę lewą ma przewiazaną — w prawej dobyta



szabla, którą zakreśla w powietrzu młyńca nad głowami usuwających się przed nim powstańców).

SCENA DZIESIĄTA

CIŻ i STANISŁAW.

Stanisław. A tom się zapędził!... Zapomnieli o starym ułanie! (*Staje przed*

Wandą w postawie służbowej i podnosi szablę).

Hej! Liczyłem ja ich, panienko, fidelnie, tem liczydłem!...

Znaczyć gdzie nie miałem — znów rachunek zgubiony...

Major. Jutro zacznem ich liczyć na nowo! (*Za sceną dało się słyszeć marsz kapeli, na nutę „Jeszcze Polska“*).

Kurtyna.

Informacye i objaśnienia.

Urządzenie sceny.

Jasny, zaciszny, swym wyglądem miłe sprawiający wrażenie i ze staroświecka urządzony pokój. W każdym szczególe znać dbałość i staranność kobiecą; poznać ją także z rozmaitych drobiazgów, jak starannie w doniczkach na oknie utrzymywane kwiaty, zawieszone tu i ówdzie na ścianie robótki kobiece, krosienka i t. p. Dwoje drzwi: w głębi i z lewej strony, ponadto okno z prawej strony na pierwszym planie. Pod tylną ścianą, z lewej strony drzwi, kłęcznik, nad nim, na dywaniku, zawieszony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; u góry płonąca lampka kolorowa, pod obrazem świeże kwiaty i polne ziele. Nicopodał, przy samych drzwiach, duży, staroświecki kufer, nakryty z wierzchu ręcznie haftowanem nakryciem. Z drugiej strony drzwi, skórzana sofa, przed nią mały dywanik, na niej haftowana poduszka. Nad sofą jeden lub dwa portrety. Pod prawą ścianą, w głębi, klawikord, obok krosna z zaczętą robótką i małe, wypłatane krzeselko. Na pierwszym planie okno z białą firanką, spiętą u góry różową kokardką. Na oknie dużo kwiatów. Pod lewą ścianą staroświecki kominek, w którym płonie kilka drewnien; przed kominkiem wygodny fotel z oparciem. W drugim planie drzwi. Między kominkiem, a drzwiami — na ścianie obraz z zegarem kurantowym, który w chwili podniesienia zasłony wygrywa mazurka. Na środku sceny okrągły stół, nakryty obrusikiem; na stole świecznik ze świecami, książka, kwiaty w flakonie. Parę krzeseł przy stole. Akcja rozgrywa się wczesną wiosną; pora przedwieczorna, — przez okno wpadają blaski zachodzącego słońca.

Uwagi dla grających.

MAJOR. Lat około 60, ale krzepki jeszcze. Z pierwszego zaraz wejścia, poznać w nim starego żołnierza; dziarska postawa, wojskowe ruchy, w całym obejściu się czerstwość, zdro-

wie, energia. Włosy i wąs siwe, a od tej siwizny tem silniej odbija się zdrowa cera twarzy, nacechowanej ujmującą dobrocią i łagodnością; pojawi się nieraz na niej mars, ale tylko na krótką chwilę. W słowach i całym zachowaniu się przebija natura prosta, szczerą, z gruntu poczciwą i zacną. Uspokojenie w miarę jowialne, temperament żywy i ruchliwy; nie potrafi długo usiedzieć na jednym miejscu, częściej przechadza się, niż siedzi, a rozmawiając, żywo gestykuluje. W grze nie zawadzi pewien akcent rubaszny, byle nie zanadto jaskrawy. Nie zapominać o fajce, którą pali z widoczną lubością. Przy pierwszym wejściu na scenę, major ma na sobie ubranie czamarkowe lub długi surdut, potem kompletny mundur ułański.

WANDA. Córnka majora, lat około 20. Cechują ją: powaga, tajony smutek i pewna marzycielskość. Widać po niej, że pod pozorną maską spokoju, dręczą się w głębi duszy, cierpi i smuci. Nieszczęścia ojczyzny, a równocześnie niepewność co do losu narzeczonego, przejmują ją głębokim smutkiem i lękiem. Ubrana jest na czarno (vide: postacie kobiece Grottgera), na szyi srebrny krzyżyk, włosy gładko przyczesane. W grze starać się o możliwie największą prostotę, a unikać popadnięcia w cklwą sentymentalność lub sztuczny patos, którego, im mniej będzie, tem lepiej dla samej roli, która wogóle wymaga gry skupionej i dobrze obmyślanej, w tonie poważnie dramatycznym, bez uciekania się do jaskrawych i krzykliwych środków melodramatycznych. Odnosi się to szczególnie do drugiej części sztuki, po przyniesieniu rannego Józefa. Tu, ważnym środkiem pomocniczym powinna być dobrze wystudjowana, byle nie zbyt jaskrawa gra mimiczna, która ma uzmysłowić rozgrywające się w sercu Wandy uczucie. O ileby niektóre tyrady utrudniały osiągnięcie należytego efektu, należy je skreślić lub skrócić, co już autor i redakcyja pozostawiają reżyserowi, który w czasie prób najlepiej potrafi ocenić, co można i należy wykreślić, aby tak tej, jak innym rolom nadać możliwie najbardziej zwarty wyraz sceniczny.

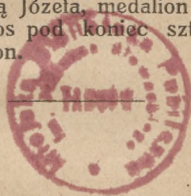
STANISŁAW. W wieku majora, również stary żołnierz. Siwy, jak gołąb, duży wąs zawieszisty. Twarz pochmurna, smutna, usposobienie mruklive, chwilami opryskliwe. Ożywia się na wspomnienie dawnych czasów żołnierskich, ale, gdy przypomni sobie los swej rodziny, natychmiast znów popada w zadumę, a opowiadając o swem nieszczęściu, ukradkiem łyż ociera. Nie dosłyszysz, więc, gdy ktoś mówi do niego, nastawia ucho, od czasu do czasu także przykładą dłoń do ucha, aby lepiej słyszeć. Rola ta, wybitnie charakterystyczna, daje grającemu wdzięczne pole do popisu i musi być ujmującą i pomysłową. Stanisław ubrany jest w czamare, przepasaną skórzanyą pasem z kłamrą, na

nogach buty z cholewami, do których włożone są szerokie czamarkowe spodnie. Po przebraniu się, ma na sobie mundur wachmistrza ułanów, w prawej ręce tęga szablica ułańska, lewa ręka przewiązana.

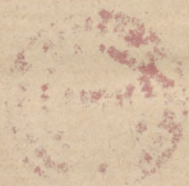
JÓZEF. W roli tej główny efekt polega na odpowiedniem oddaniu stanu, w jakim się Józef znajduje, za pomocą gry mimicznej i gestykulacyi, które jednak powinno być umiarkowane, tak samo jak jęki, jakie wydaje z siebie Józef, powinny być ciche i rzadkie. Józef ma z początku twarz zakrytą chustką, po jej zdjęciu widać na twarzy ślady postrzału; poza tem głowa jest przewiązana bandażem, lewa dłoń również. Mówi z pewnym wysiłkiem, podnosi się z trudem, opierając się na łokciu lewej ręki.

Rekwizyta.

Oprócz wymienionych w informacyach co do urządzenia sceny i ubrania poszczególnych wykonawców, potrzebne są jeszcze następujące rekwizyta: Dzban z wodą, szarpie, zwitek papieru w leżącej na stole książce, przybory do lania kul, zwój płótna w kuirze, fajka, kapciuch z tytyniem i zapalki siarkowe, nosze, na których wnoszą Józefa, medalion na piersi Józefa. Za sceną trąbki, których głos pod koniec sztuki rozlega się bliżej i dalej, z rozmaitych stron.



C-90061



Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie

Czytelnia Naukowa



0250-090061-00